

## EDYTA KOCHLEWSKA „SIEDEM ŚLUBÓW MOJEJ SIOSTRY”

„O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna?” – zastanawiała się swego czasu Irena Santor. A ja zapytam, czego pragnie kobieta, gdy dojrzewać zaczyna? Pokoju na świecie? Dajcie spokój, to nie konkurs piękności. Dziewczyna czy kobieta – każda z nich marzy o odrobinie szczęścia w miłości.

Mnie również ostatnio dopisuje szczęście, tym razem nawet wielokrotnie, bo przytrafiła mi się przygoda z nowym wydawnictwem i na dodatek z nową autorką. Przypadek? Nie sądzę. Do niedawna jeszcze nazwa SILVER Oficyna Wydawnicza nic mi nie mówiła. Podobnie obco brzmiało nazwisko Edyty Kochlewskiej, która zmajstrowała książkę pod tytułem „Siedem ślubów mojej siostry”. Ach, autorka to na dodatek debiutantka. Po co więc sięgałam aż po tyle niewiadomych? To proste. Bo kto nie ryzykuje, ten się nie dowie, co skrywają liczne znaki zapytania. Tak oto rozpoczęłam, nazwijmy to, wielobój nowości.

Najpierw research wydawnictwa, czyli szperanie, co w przestrzeni internetowej piszczy. A tam SILVER zapowiada, że w swojej ofercie ma, m.in. „powieści, które poruszają tematy istotne dla dojrzałych kobiet<sup>™</sup>”. Hmm, myślę sobie, zerkając na „Siedem ślubów mojej siostry”, ile cukru w cukrze, czyli na ile ta zapowiedź się sprawdzi po konfrontacji z lekturą.

Dalej wzmianka o „standardzie druku przyjaznym nie tylko Srebrnym Czytelnikom<sup>™</sup>”. I znowu myślę sobie... hmm... choć akurat w tym przypadku od razu widzę, że prawda. Zaraz przed oczami stanęły mi cooltowe „Dzieci z Bullerbyn” (Wy też zapewne je pamiętacie), wydanie z powiększoną czcionką i szerszymi odstępami między wierszami. Och... moje wielce sobie ceniące wygodę oczyska wręcz uwielbiają takie wersje!

Jeszcze raz łypię niezmeńczonym wciąż okiem na samą książkę, na jej okładkę i wnętrze. Co Wam powiem, to Wam powiem, ale Wam powiem... ładna. Na wierzchu kwietna łąka tak kipi różnymi akcentami, że aż sama się przyłapuję na tym, jak chłonę głębiej jej zapach. W środku natomiast na tytułowych stronicach rozdziałów przebijają się pola koniczyny. Nie próbowałam wypatrywać czterolistnej, ale kto tam zna intencje wydawcy? Może i co schował w tych kobiercach? Ale Wy odważnie próbujcie szczęścia.

Inwigilacja autorki pod kątem literackim przebiegła bez akcji specjalnych, wszak to debiutantka. Skoro przygotowania poczynione, to teraz mogę przystąpić do dania głównego, czyli zagłębić się w lekturze.

Do „Siedmiu ślubów mojej siostry” podeszłam... właściwie bez podejścia. Niczego nie oczekiwałam, na nic się nie nastawiałam, bo – jak wspominałam – i wydawnictwo nowe, i autorka nieznana. Przygotowałam pozaliterackie czasoumilacze (zielona herbata oraz sporych rozmiarów nieziemski placek w wykonaniu mojej kulinarnie zdolniejszej połowy) i... bujam się niespiesznie w starym fotelu z epoki babciowej z książką w ręku. Wokół uwijają się bzyki z kwietnej łączki (może nie aż tak różanej jak w „Ślubach”, ale jednak urodziwej), powiewa wiaterek, rozleniwia żar słońca, a mnie już sam prolog, powiedzmy, że... zaintrygował. Z każdą kolejną stroną do tego stopnia przesiąkałam poznawaną historią, że zniknął mój świat, a kompletnie pochłoniął mnie przypadek Zośki – głównej bohaterki.

Zośka od małości zostaje obdarzona nadmiarem hipnotyzującego uroku. Jako dziecko najpierw czaruje nim dziadka, wymuszając na nim obietnicę, że nigdy nie pokocha nikogo tak jak jej, bez trudu zmiękcza duszę i tak dobrotliwej babki. Potem, już będąc podlotkiem, wespół z innym rezolutnym siedmiolatkiem potajemnie dokonuje pierwszych ślubów. Jej kobieca żywiołowość zniewala kolejne męskie serca, a w miłosnych szrankach stają (z różnymi efektami) rozmaite nacje. Ponieważ świat zachwyca Zośkę w każdym szczególe i z nudą absolutnie jej nie do twarzy, dziewczyna śmiało czerpie z życia mozaikę emocji, nie roniąc przy tym ani kropli. Tylko na apodyktyczną matkę, hołdującą drobnomieszcząnskiej maksymie „co ludzie powiedzą”, urok Zośki oddziałuje jakby z mniejszą siłą rażenia. Skoro tyle wokół niej miłości, to czego jeszcze w takim razie pragnie, czego szuka?

Jeśli o miłości już tyle powiedziano, jeśli odkryto już wszystko, to czy zostało jeszcze coś do dodania w tym temacie? Kochlewska chyba też zadała sobie to pytanie i uznała, że najlepiej będzie pisać o miłości... inaczej, pisać po swojemu. I właśnie styl autorki uznaję za największy atut „Siedmiu ślubów mojej siostry”. Naśladując branżę perfumiarską powiem, że w nucie głowy Kochlewska ujmuje kreacją zielonookiej bohaterki z zadziorną grzywką, w nucie serca zniewala korowodem kipiących emocji, a w nucie głębi magnetyzuje stylem opowieści, kształtując ekspresyjny obraz estetyki literackiej. Dlatego nie zdziw się czytelniku, gdy podczas lektury „Siedmiu ślubów” odczujesz aurę zapachów niczym z „Jasminum” Kolskiego czy „Pachnidła” Süskinda. A wszystko to dzięki sile sprawczej głównej postaci, której towarzyszy oszałamiająca i zmienna feeria wonności rozsiewanych przez nią samą. Dla mężczyzny ta zjawiskowa kobieta pachnie jak marzenie, a smakuje jak ideał.

Tworząc nastrój autorka, wzorem własnej bohaterki, owiała mnie zwiewną narracją, przeniknęła ulotnością, pozostawiając przy tym niezapomniane wrażenia. Spod jej pióra opowieść płynie niczym historia snuta po latach w dobrym towarzystwie. Tu czas łagodzi ból nabitych dawniej guzów, poczucie humoru zaciera ostre kontury przykrych wspomnień, z tła wyłaniają się chwile składające się na pogodny

i optymistyczny obraz niezwykłych perypetii Zośki. Szczególnie przypadł mi do gustu oryginalny sposób autorki na niby *en passant* rozrzucone sceny, które do laurkowej rzeczywistości wносиły zapowiedź nadciągającej zmiany. Jedne z nich zapowiadały się całkiem niewinnie, inne niczym burza z piorunami były bardziej brzemienne w skutkach. Krótko mówiąc, narracja po prostu unosi się w powietrzu jak zapach, spowijając czytelnika nie tylko pachnidłami.

Wspominałam już, że Kochlewska stawia na wrażenia? Aby były pełniejsze, przydaje im muzykę. Ta również nie trafia tu przypadkowo. Pobrzmiwa Stare Dobre Małżeństwo, Osiecka czy choćby Fleetwood Mac. I nie muszę chyba dodawać, że fragmenty utworów mają swoje znaczenie. Elektryzują, zaklinają, zdradzają, splatając się z nastrojem lub akcentując podteksty.

Biorąc pod uwagę tytuł, przyjąłam (acz niesłusznie), że poznam siedem historii miłosnych. Siódemka symbolizuje wszak pełnię i doskonałość, więc jedna miłość nie ma szans usatysfakcjonować ani gorąckrwistej bohaterki, ani mnie jako, a co się będę krygować, doświadczonej czytelniczki. Jednak nie doceniłam autorki, gdyż ta idzie o niebo dalej. Wyobraźcie sobie, że w „Siedmiu ślubach” naliczyłam miłosnych wątków dużo więcej. (Ponieważ doskonała siódemka utożsamia też zapomnienie, więc może i samej autorce też uleciało z wiatrem, że rozpędziwszy się z bogactwem pomysłów, przekroczyła tytułową cyfrę.) Nie zmienia to faktu, że czoło romantycznego maratonu bezapelacyjnie otwiera osoba Zośki, z jej malinowo-jaśminowo-truskawkowo-migdałowo... i Bóg raczy wiedzieć jakimi jeszcze tonacjami. (A propos mistycznych klimatów, szepnę tylko, że co najmniej w jednej z przygód także Jezus bezpośrednio swe paluchy macza.) Ale wcale nie mniej rozczulające są kulisy pachnącej jałowcem mocno klującej miłości rodziców Zośki czy kolczasta relacja matka-córka. Każda z nich zasługuje na miano osobnego opowiadania, jest jak pąk czekający na pełne rozkwitnięcie.

Niewątpliwie wątki miłosne dominują w „Siedmiu ślubach mojej siostry”, lecz nie brak tu także plastycznego obrazu prowincji (Jezusicku Nazareński, czy Nowy Sącz mi to wybaczy?) przedstawionej w okresie kolejnych 35 lat, bo taki przedział czasowy, zaczynając od lat siedemdziesiątych, obejmuje powieść. Obecnie Zośka dobiegałaby właśnie pięćdziesiątki, jak sądzę. Czytając jej perypetie, przypominałam sobie Pewexowskie klimaty i PRLowską praśność. Kontrast epoki jawi się tym większy, że zestawiony został ze zgniłym Zachodem, tfu... zamożnym Wschodem, bo Zośka wyfrunie na początku lat dziewięćdziesiątych za mamoną do Izraela. Dopiero potem pogna do gorącej Hiszpanii, zacumuje też w skąpanej w słońcu Italii. Ale za każdym razem wraca do siebie, do domu. A tu zachodzi ryzyko konfrontacji z matką, dla której ślub córki jest rodzinnym celem strategicznym numer jeden, a wyszykowanie go specjalnie dla ciekawskich oczu sąsiedzkiej gawiedzi celem strategicznym numer dwa.

Więcej punktów program rodzicielki nie zawiera. No, może jeszcze kilka pomniejszych rodzinnych fiksjacji by się znalazło, ale to już o zupełnie drugorzędnym znaczeniu. Natomiast Zośka, w wersji małej i dorosłej, marzy tylko o szczęściu w miłości...

Jejku, chyba czas kończyć. „Siedem ślubów mojej siostry” Edyty Kochlewskiej zrobiło na mnie naprawdę pozytywne wrażenie. Przyczepiłabym się do drobnostek w stylu, że może zbyt niecierpliwie niektóre sceny zarysowane, jakby konstruowane na chybcika, ale przypominam, że to przecież debiut autorki. Konkludując, lektura „Siedmiu ślubów mojej siostry” otuliła mnie wielce aromatyczną opowieścią, przyjemnie nastroiła i pozwoliła przeżyć niebanalne chwile w Zośki towarzystwie. Nieraz kręciłam głowę z niedowierzaniem, czasami miałam wątpliwości, czy aby wszystko z Zośką w porządku, gdy trzeba było, podtrzymywałam ją na duchu (na szczęście dla mnie i dla niej sporadycznie, bo dziewczyna doskonale sobie radzi), a potem znowu żyłam w pełni, kochałam, szalałam, śmiałam się, cieszyłam i chwyciłam z nią kolejny dzień... bo historia Zośki łączy pragnienia. Wam też życzę podobnych wrażeń.

Za patronat recenzencki nad książką pt. „Siedem ślubów mojej siostry” autorstwa Edyty Kochlewskiej dziękuję SILVER Oficyna Wydawnicza.

\*) cytaty zaczerpnięto ze strony [www.silverow.pl](http://www.silverow.pl)

*Katarzyna Chmiel*  
Katarzyna Chmiel  
blog „Czytam duszkiem”

SEO: Siedem ślubów mojej siostry, Edyta Kochlewska, SILVER, ślub, zapach, Pachnidło, Jasminum, feromony, Kolski, Süskind, miłość